

Rok 1940 rozpoczął się dla mnie jako 9-letniej dziewczynki tragicznie. W nocy z 31 grudnia 1939 r. na 1 stycznia 1940 roku do naszego domu wtargnęli uzbrojeni żołnierze i aresztowali mojego ojca. W trakcie rewizji przetrócili cały dom do góry nogami.

Kochałam ojca szalenie. Był dla mnie wszystkim, rozpuszczał mnie tak dalece, że zabierał mnie na posiedzenia w różnych instytucjach szczególnie tych popołudniowych a potem ^{na-} przyjęcia. Myślałam, że zaraz ojca zabiorą, byłam przerażona, wrzeszczałam jak opętana i zostałam za to w okropny sposób skrzyczana przez oficera i nakazał mi milczenie.

Dom bez ojca był pusty. Żyliśmy jednak nadzieją, że go wypuszczą, że to jakaś pomyłka. Był już raz aresztowany po wejściu Rosjan do Pińska ale został zwolniony po staraniach Mamy i interwencji ludności miejscowej.

Tym razem niestety żadne interwencje nie skutkowały nikt go więcej nie widział.

Żyliśmy w ciągłym strachu bo domy były napadane przez grupy białoruskich bandytów. Mieliliśmy rządce, który miał nadzieję, że gospodarstwo przejdzie na jego własność i baliśmy się, że specjalnie ściągnie bandę aby nas wymordowała. / Potem też pojechał na Sybir /.

Ojciec odchodząc prosił mnie abym się opiekowała Mamą, czuwałam więc z nią w nocy dokąd mnie sen nie zaprzy, czy ktoś nie nadchodzi. Pszyli pewnej nocy o 4-iej rano 10 lutego 1940 roku ale Rosjanie.

Oświadczyli, że jako pomieszczyki i inteligencja jesteśmy aresztowani i zabierają nas do Pińska. Przyjechali po nas w dwoje san. Poza nami w domu była matka mojej matki i brat z żoną z Warszawy. W późniejszym terminie zostali odesłani do Warszawy.

Nas tj. mnie Matkę i 9 - miesięcznego brata wpakowali na sanie. Mężczyzna, który nas zabierał był dziwy, musiał dobrze wiedzieć gdzie jedziemy i co nam będzie przydatne. Wpakował nam na wóz bańkę mleka, worek kaszy i maki, kazał zabrać wszystkie ruble, wpakował już sam maszynę do szycia, wszystkie serwetki z kredensów-stołów, kwiatników i inne kilimki. Za te ciuszki przeżyliśmy dwie zimy, bo wymieniała je Mama na ziemniaki i kaszę. Byliśmy tym zaskoczeni. Mama negocjowała "po co to" - byliśmy przekonani, że nas rozstrzelają. Jadąc przez włoskę ludzie stali płacząc i rzucali nam na sanie chleb. Około 6-iej rano byliśmy w Pińsku. Zawieziono nas na stację kolejową i wpakowano do wagonu towarowego, gdzie już było pełno ludzi ale nam obcych i jakoś mało przyjaznych. Zrobiono nam miejsce na górnej pryczy w rogu i tam siedzieliśmy łącznie z naszymi rzeczami, nie wolno było się ruszać. Mama rozłożyła posciel i położyła mnie z bratem spać, byliśmy tą nocą strasznie zmęczeni.

W wagonie było dużo ludzi, ale nie pamiętam czy byli jeszcze jakieś dzieci. Mama chciała aby ją wypuścili może spotka kogoś znajomego ale niestety nic nie wytargowała. W nocy pociąg ruszył w nieznane.

Zabrane mleko, które zamarzło na szczęście, kasza i mąka były podstawą naszego wyżywienia. Po pewnym czasie trudno mi określić jakim zatrzymaliśmy się na stacji można było nabrać zimnej i gorącej wody oraz zupy.

Na tym pierwszym postoju spotkaliśmy sąsiadów Państwa Szczygiewskich byli o parę wagonów dalej. Ogromna radość mam kolegów, dwoje z ich pięciorga dzieci są moimi rówieśnikami. Rodzinie Państwa Szczygiewskich zawdzięczamy bardzo wiele, przez cały czas opiekowali się nami troskliwie. Mama próbowała aby nas przeniesiono do ich wagonu ale też było to niemożliwe.

Natomiast spotykaliśmy się na wszystkich postojach. Ja razem z nimi latałam po kiptatok i zbierałam na torach deski, słomę i węgiel na opał w wagonie. Mama dawała mi ruble na zakup bułki czy pierożka w bufecie na stacji. Często wracając z wyprawy na postój dźwiliśmy z lęku czy aby pociąg już nie odjechał. Nigdy nic nam nie mówiono do końca.

Zima była ciężka, ściany wagonu były pokryte szronem i ja ciągle w nocy przymarzałam do wagonu. Pomimo, że miałam rozuch i dobre ze skóry buty marzłam. Marzłam również w wagonie. Pomimo, że mieliśmy trochę produktów, które nam podkradano, od pewnego czasu gdzieś po dwa tygodniach było i głodno. Oczekaliśmy na dłuższy postój żeby coś kupić do jedzenia.

Gdzieś po miesiącu dojechalismy do Archangielska. Tam nas rozładowano na duży dworzec kolejowy do ogromnej sali, taka mi się wtedy wydała/. Ważnym było aby zająć miejsce przy ogrzewaniu. Brat zaczął chorować na żołądek, trzeba było suszyć pieluchy. Mama dowiadyuje się co należy zrobić aby zostać razem ze znajomymi. Mamy się podawać za rodzinę. Od tej pory jesteśmy już razem. Mam obowiązek zajmować się bratem, pomagam jak mogę Mamie. W wolnych chwilach buszujemy po wszystkich kątach stacji i najbliższym otoczeniu dworca. Zaskoczeni jesteście drewnianymi domami w wieści a jeszcze bardziej drewnianymi chodnikami. Kto ma pieniądze może coś z żywności kupić.

Po 3 - 4 dniach ładują nas na samochody i ruszamy w dalszą drogę. Spaliny dostają się pod budę - mam torsję. Mama traci przytomność ludzie proszą o zatrzymanie się, ale to jest trudne, kierowca ma określony czas przejazdu. Dojeżdżamy w końcu do Chelmogorska. Tu nas od razu przeładowują na sanie i po

po rzece Dzwina wiozą nas do posesioku Krasna Zora. Początkowo jazdę sanami odbieramy jako olbrzymią frajdę, niedługo jednak mroz o sobie daje znać siedzimy otuleni pościelą czekając na koniec tej jazdy.

Posiołek Zora położony jest nad rzeką Dzwina a za nim olbrzymie tereny leśne. Baraków jest dużo, część zasiedlona przez ludzi rosyjskich przemieszczonych wcześniej już zagospodarowanych, mają przy baraku polećka, kozy i są pracownikami spółdzielni rybaciej, plekarni, stołówki, sklepu. Jest w posesioku lekarz również dawny przesiedleńca.

Otrzymujemy na 13 osób jeden pokój duży i drugi mały. Mieszkamy w małym pokoju z tym, że między tym pokojem małym a dużym nie ma drzwi a więc wszyscy razem. Są kuchnie do ogrzewania o paliwo musimy się starać sami. Chodzą z innymi dziećmi do lasu zbieram suche gałęzie. Mama natychmiast na obowiązek zgłosić się do pracy w lesie, do cięcia drzewa jest wykończona. A cały dzień opiekuję się bratem, gotuję zupę, sprzątam, piorę, wszystko robię bardzo nieudolnie, Mama się denerwuje. Często pomaga mi Pani Szczygłowska aby mnie ochronić. Mama często jest wzywana przez NKWD skąd wraca często pobita.

Przychodzi w dniu 1 Maja lato, pękają lody na rzece. Mamę przenoszą do nieczyszczenia gliny, nie wytrzymała tego, traci przytomność jest przerażona. Po paru dniach pobytu w domu i pomocy lekarza przenoszą ją do roboty w stołówce. Jest już znacznie lepiej, choć pracuje dłużej. Ja nadal opiekuję się bratem a dodatkowo jeszcze chodzę nad rzekę łowić ryby, czego robić nie wolno i jak, ktoś zauważył ryby nam zabierano i dostawaliśmy jeszcze bicie. Najciężej było mi nanieść wody z rzeki lub do picia ze źródła nad rzeką. Trzymamy brzeg a wiadro drewniane ciężkie. Nosiałam nieraz bańkę, to znów musiałam chodzić więcej razy. Latem mieliśmy obowiązek zbierania jagód i grzybów. Zbierałam też leśniczkę, którą goworiam jako przysmak. Do czerwca 1940 roku jak się miało trochę pieniędzy to można było coś w sklepie kupić. Od wybuchu wojny rosyjsko - niemieckiej nie było już nic w wolnej sprzedaży, wszystko na kartki. Jeżeli ktoś nie pracował co było raczej niemożliwe, nie dostawał chleba i posiłków w stołówce. Stąd obowiązek od 8 lat zbierania określonej ilości jagód, łochin, borówek, żurawin i grzybów. Najtrudniejszy był zbiór żurawin, bo po rozpuszczającym się śniegu nogi marzły okropnie bo przemakały, kaloszy nikt nie miał a więc najczęściej w tej zimnej wodzie ze śniegiem na bosaka, okropne pierwsze odczucie